



Wstyd za Amerykę

Gdy już dla całego świata stanie się oczywiste, że USA poniosły w Iraku klęskę - napisała hamburska "Die Zeit" - będzie się na podstawie tej książki robić takie filmy, jak 30 lat wcześniej o Wietnamie. Mowa o wspomnieniach dezertera amerykańskiego.

Dezerterski z US-Army Joshua Key napisał książkę "Ich bin ein Deserteur", która została wydana w maju w Hamburgu. Gdy George W. Bush rozpoczął 20 marca 2003 roku wojnę o "wolność dla Iraku" 25-letni Key był żołnierzem 35. Combat Engineer Company. Do armii zgłosił się sam. Na plakacie werbunkowym przeczytał, że armia zapewni mu byt, ubezpieczenie, pieniądze na późniejszą naukę w college'u.

Dla rodziny i kraju

Żył dotąd w Guthrie, na farmie swego dziadka, weterana wojny koreańskiej, mieszkał w wozie campingowym, był bogobojnym i biednym chłopcem, który od dziecka musiał pracować. Bił go ojciec, bił ojczym jeden, drugi, trzeci... Gdy miał 18 lat poznał Brandi, dziewczynę z sąsiedztwa, równie biedną jak on, z którą się ożenił, gdy urodziła im się córka. Po kolejnych dwóch latach było już dwoje dzieci, potem trzecie. Nie mieli ubezpieczenia, pieniędzy ledwie na jedzenie starczało.

Wtedy właśnie, jak mu mówił sierżant z punktu werbunkowego - "wygrał los na loterii". Zdał wszystkie testy i po wielomiesięcznych szkoleniach (podstawowym i saperskim) podpisał w kwietniu 2002 r. kontrakt na trzy lata zapewniając rodzinie 1200 dolarów miesięcznie oraz ubezpieczenie.

"Pęczniałem z dumy i poczucia patriotyzmu słysząc, jak nasi dowódcy mówili, że Amerykanie są jedynym porządnym narodem na świecie, zaś muzułmanów i wszelką terrorystyczną swolocz należy zabijać. Uważałem się za patriotę i byłem przekonany, że zadaniem US-Army jest dbać o porządek w świecie."

Pod koniec kwietnia 2003 r. Joshua Key znalazł się w Ramadi w Iraku. Z kwatery w jakimś pałacu blisko Eufratu wyjeżdżali nocą na miasto w 6-osobowych wozach pancernych APC, on na górze przy erkaemie. Tu, w Ramadi, jak później w Faludży, Al Habaniji i Al Khaim uczestniczył - jak potem to oceni - w kolejnych z ogółem około 200 akcji "przeciw terrorystom".

Żołnierze jak bandyci

Wyglądało to zawsze tak samo. Noc. Podjazd pod wskazany dom, w którym mieli znajdować się terroryści, wysadzanie drzwi ładunkiem C-4, wtargnięcie z wrzaskiem do środka, rzucanie wszystkich obecnych tam na podłogę, krępowanie nóg oraz rąk, kopanie w żebra i po głowie, przeszukiwanie pomieszczeń z rozpruwaniem podłóg i "demolką" mebli, wyprowadzanie i odtransportowanie mężczyzn oraz chłopców powyżej półtora metra wzrostu w nieznanym kierunku i odjazd.

Już w czasie pierwszych takich "akcji bojowych" Key zaczął sobie zadawać pytanie "co ja tu robię?", ale dowódców nie pytał o nic. Nawet wtedy, gdy widział, jak jego koledzy zabijali cywilów, gwałcili młode Irakijki, jak rozwścieczeni GI's, nie znajdując terrorystów, rozwalali tych, którzy się im nawijali pod rękę. Kradli przy tym znajdowane pieniądze, piękne dywany i inne drogocenne przedmioty. "Bili, bo chcieli" - pisze Key. "Robili, co się podobało. Podczas patroli za dnia ostrzeliwani byli z moździerzy i ckmów, ale nigdy, nigdy - żadnego "terrorysty" na oczy nie widzieli. Swoją frustrację wyładowywali na cywilach" - podkreślał.

Jest w opowieści Keya kilka szczególnie okrutnych epizodów: jak żołnierze amerykańscy kopali odstrzeloną serią z rkm głowę cywila i bawili się nią w piłkę nożną, jak strzałem w głowę zabito małą dziewczynkę, która codziennie przybiegała do Keya po jego "żelazną rację", żeby nakarmić nią matkę i rodzeństwo. Był bowiem zakaz bratania się i zabójcy dziewczynki sierżant nie powiedział ani słowa. Key pisze: "Zachowywaliśmy się jak potwory... Wiedziałem, że to nie w porządku, sprzeczne z prawem, z konwencją genewską. I stawało się coraz bardziej oczywiste, że amerykańska armia zdradziła ideały naszego kraju. To myśmy byli terrorystami, staliśmy się nimi w czasie tej wojny".

Nie tylko Keya gryzło sumienie. Niektórzy żołnierze snuli plany, by postrzelić się w nogę i w ten sposób uciec z tego koszmaru.

Czas na myślenie

We wrześniu 2003 r. mieli urlop w tzw. zielonej strefie pod Al Khaim. Tam Keya, ojca już trojga dzieci, co się rozniosło, zagadnęła pewna żołnierka. Chciała zająć z nim zająć w ciążę, by zwolnić się z kontraktu. Odmówił nawet pani porucznik, która przysłała do niego z tą samą sprawą. Tam, gdy odpoczywał, trapiło go coraz więcej wątpliwości. Inni żołnierze też je mieli. "Oto mijały miesiące, a żadnej broni masowej zagłady nie znaleziono" - pisze. Nie widział na oczy żadnego terrorysty. "Moja armia doprowadziła do tego, że wstydziłem się jako Amerykanin".

Wreszcie dostał urlop. W domu dręczyły go senne koszmary. Żona, której wyjawiał zamiar dezercji, zdała się na jego decyzję. Nie poleciał już na front, postanowił się ukrywać. Dalsza część książki to relacja z ucieczki na północ Stanów i dzięki pomocy War Resisters Support Campaign w Toronto - dalej do Kanady. Czeka tam na polityczny azyl. W epilogu książki pisze - "nie będę się usprawiedliwiał z tego, że porzuciłem sztandar. Uciekłem od niesprawiedliwości i było to słuszne. Usprawiedliwić się muszę jedynie przed narodem irackim". Nie chciał walczyć w niesprawiedliwej wojnie. "Naruszanie przez nas podstawowych praw ludzkich było na porządku dziennym. Wychowywano mnie na patriotę i jako patriota zgłosiłem się do armii, jako patriota wykonywałem w Iraku swój obowiązek, ale musiałem zrezygnować ze swojej naiwnej wiary w to, że mój kraj i moja armia czynią w świecie wyłącznie dobro".

Joshua Key jest pierwszym dezercerem ubiegającym się po porzuceniu armii amerykańskiej walczącej w Iraku o azyl w Kanadzie. Różne kanadyjskie organizacje pacyfistyczne walczą o zmianę negatywnej dla dezercera decyzji tamtejszych władz. Argumentują, że za rządów premiera Pierre'a Trudeau przed 30 laty przyjęto w Kanadzie tysiące Amerykanów, którzy nie chcieli iść na "brudną wojnę" w Wietnamie. Do chwili rozpoczęcia druku tej wydanej w maju 2007 r. książki, Key azylu nie dostał.

Źródło: <http://palestyna.com.pl/irak/index.php?ID=news&news=016.info>